

JAMES FORRESTER

KORZENIE ZDRADY

Korzenie zdrady sięgają bardzo głęboko i wkrótce bezpieczeństwo angielskiej monarchii zawisnie na włosku...



Prolog

*Dzień Wniebowstąpienia Pańskiego,
czwartek, 11 maja 1564*

Każdy znał przynajmniej jedną historię o Rawie Carewie. Po pierwsze, powszechną sensacją budziło jego pochodzenie: był synem z nieprawego łoża angielskiego kapitana, który porzucił kochankę, a ta dokonała żywota w domu rozpusty w Calais. Po drugie, kiedy w 1558 roku Calais wpadło w ręce Francuzów, odmówił poddania się. Chociaż miał zaledwie siedemnaście lat, dowodził już wtedy statkiem i zdołał się przedrzeć przez flotę oblegającą miasto i wydostać z portu. Niezliczone historie opowiadały o jego legendarnej odwadze. Część z nich była prawdziwa, na przykład o tym, jak dokonał abordażu hiszpańskiego okrętu, skacząc podczas szalejącego sztormu na takielunek z własnego grotmasztu. Inne miały tylko luźny związek z rzeczywistymi wydarzeniami lub zostały całkowicie zmyślane. Jednak nawet najbardziej niewiarygodne opowieści zawierały ziarno prawdy. Wszystkie usnuto wokół postaci niezwykłego człowieka — odważnego i zdolnego — nieważne, czy mówiły o dzielności, romansach, lojalności czy zemście.

Gdyby kapitan *Davy'ego*, William Gray, wiedział, że Raw

Carew płynie właśnie w jego kierunku małą łódką i dzieli go od jego statku niecałe dwieście pięćdziesiąt sążni, mniej by się interesował młodą dziewczyną w swojej kajucie, a bardziej załogą, która piła beztrosko, grając w kości i śmiejąc się przy lampach i mdłym świetle świec na głównym pokładzie. Atak piratów był ostatnią rzeczą, jaką miał teraz w głowie. Statek stał bezpiecznie na kotwicy w zalewie Southampton Water, niecałe cztery mile od portu, a Gray wiedział doskonale, że wody kanału patroluje sir Peter Carew z pięcioma statkami pod swoim dowództwem oraz królewskim nakazem, by wieszać każdego pirata bezzwłocznie i bez sądu. Nikomu nie przyszłoby do głowy myśl, że nieślubny bratanek sir Petera może nocą podkraść się w skradzionej łodzi do królewskiego okrętu. Poza tym ludzie Graya ciężko pracowali, aby pokonać tego dnia tak duży dystans. Kiedy pięć dni temu opuścili ujście Tamizy, złapał ich sztorm i musieli szukać schronienia w Dover. Nie byłoby rozsądne ze strony Graya żądać od załogi, by po tak męczącej podróży zachowywała czujność przez całą noc. Godziny spędzone w zimnie na takielunku dłużyły się niemiłosiernie, a wiatr znad kanału wydłużał rejs. Zaslugiwali na odpoczynek.



Hugh Dean podniósł wzrok na czarną sylwetkę *Davy'ego*. Pełnił funkcję pierwszego oficera na poprzednim statku *Rawa Carewa*, pechowym *Nightingale'u*, i zachował tę pozycję po jego stracie. Kiedy przykucnął na dziobie łodzi, w nozdrza uderzył go zapach wodorostów. Był nów, blade światło gwiazd muskało napięty łańcuch kotwicy i zwinięte żagle okrętu. Czekając, nasłuchiwał chłopotu wody i plaśnięć takielunku poruszanego przez rzeński południowo-zachodni wiatr. Kiedy łódź podpłynęła do *Davy'ego*, oparł dłonie o kadłub, aby

złagodzić uderzenie. Potem wyszeptał jedno słowo:

— Naprzód.

Dwaj mężczyźni za jego plecami rzucili w górę haki abordażowe, upewnili się, że zaczepiły o nadburcie, po czym zaczęli się wspinać. Za nimi poszło dwóch następnych. Trzech innych, niecierpliwiąc się, chwyciło się szczelin między deskami lub zwisających lin i również pięło się w górę. Jednym z nich był Hugh Dean, który za żadne skarby nie zostałby w tyle. Wszak właściwym miejscem dla pierwszego oficera jest pierwsza linia ataku.

Po drugiej stronie *Davy'ego* do statku dopłynęła druga łódź Rawa Carewa. Tam również poleciały w górę haki abordażowe i po linie zaczął się wspinać sam Carew. W ślad za nim podążyli jego ludzie.

Ciszę rozdarł krzyk:

— Kto tam?!

Kilku mężczyzn pobiegło w stronę hałasu, ich kroki zadudniły na pokładzie. Chwilę później rozległ się zdławiony charkot. To pełniący wachtę marynarz chciał wrzasnąć drugi raz, lecz ktoś poderżnął mu gardło.

— Abordaż! Abordaż! — zawołał drugi wartownik, słysząc zamieszanie.

Były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział w życiu. Po sekundzie ostra głównia rozcięła mu krtań, aż krew siknęła na deski. Trzeci mężczyzna na pokładzie nie zdążył nawet wydobyć głosu. Czyjaś dłoń zasłoniła mu usta, druga wbiła w plecy sztylet — raz, drugi, trzeci. Zabójca poczuł, jak ciało osuwa się na pokład. Popchnął je na burtę i przerzucił na drugą stronę. Zwłoki wpadły do wody z głośnym pluskiem.

Tylko kilku spośród pięćdziesięciu ludzi zgromadzonych w cuchnącej ciemności pod pokładem usłyszało pierwszy krzyk, za to do wszystkich uszu dotarło tupanie, odgłos

biegnących kroków oraz chlupot wody za burtą. Wielu rzuciło się do drabinki i zaczęło wchodzić na górę, lecz natknęło się na zamknięty luk.

Nasłuchiwali przestraszeni. Doszedł ich drugi plusk ciała wpadającego do wody, potem trzeci. Słyszeli kroki ludzi biegnących po pokładzie nad ich głowami. Dłonie zacisnęły się na rękojeściach noży. Ci, którzy mieli miecze lub sztylety, dobyli ich i przygotowywali się do walki. Lampa zawieszona na podstawie grotmasztu zamrugała i zgasła. Bosman *Davy'ego* dał ludziom znak, żeby otoczyli drabinę.

Minęła minuta. Wreszcie usłyszeli zgrzyt otwieranego luku.

Pod pokład zszedł Raw Carew. Powoli wyłonił się z ciemności i stanął w kręgu światła. Był niewysoki, w całej jego posturze najbardziej zwracały uwagę mięśnie górnej połowy ciała, a zwłaszcza potężne bicepsy. Potrafił się wspinać po linie, nie dotykając jej nogami. Dwadzieścia trzy lata życia pełnego trudów znalazło wyraz na jego obliczu, lecz nie popsowało urody. Krótkie, jasne włosy unosiły się lekko zmierzwione. Uśmiechnięte błękitne oczy prześlizgiwały się czujnie po twarzach mężczyzn zgromadzonych pod pokładem, przebijały głębokie cienie, wypatrując zagrożenia, lecz ani na moment nie straciły spokojnej pewności siebie. Były to poczciwe oczy, pod ich spojrzeniem każda twarz mimowolnie poddawała się tej badawczej ocenie. W obydwu uszach Carewa tkwiło kilka złotych kółek. Aksamitna kamizelka i lniana koszula wisiały na nim luźno według osobliwej mody. Wokół szyi miał przewiazaną czerwoną chustkę, nosił też kilka złotych pierścieni, w tym jeden na środkowym palcu, ozdobiony trzema czarnymi lwami na zielonym tle.

Mężczyzna stojący najbliżej drabiny rzucił mu bezgłośnie wyzwanie, podnosząc broń przed twarzą, lecz Carew łagodnym ruchem odsunął ostrze na bok. Wszyscy widzieli, że nie ma

w rękę broni. Jego swobodny sposób bycia zbił ich z tropu. Szedł za nim łysy, brodaty Murzyn, marszcząc czoło niczym generał na polu bitwy. Z dłonią spoczywającą na kordzie, z drugą bronią za pasem rozglądał się czujnie w półmroku. Następna w łuku pojawiła się czarnowłosa postać pierwszego oficera, Hugh Deana, w skórzanej kamizelce, z pasem wybrzuszonym trzema pistoletami. Dwa kolejne trzymał w dłoniach i mierzył z nich wszędzie, gdzie coś ściągnęło jego uwagę. Zadowolone spojrzenie tak jak obydwie lufy przeskakiwało z jednej twarzy na drugą, a na jego obliczu malował się zachwytny niedźwiedzia, który wszedł do strumienia pełnego apetycznych łososi.

Piraci schodzili sznurem: drobnutki, bladokóry Gwiazdek Johnson o marzycielskich oczach i ze sztyletem w dłoni; łysy grubas, John Devenish w obszernej białej koszuli, niebieskich falbaniastych spodniach, z zakrzywioną mauretańską szablą; za nim następni.

Kiedy wokół Carewa zebrali się jego ludzie, popatrzył na załogę *Davy'ego*.

— Możecie być spokojni, nie szukam z wami zwady. Chcę tylko zamienić kilka słów z...

W tym momencie za jego plecami wybuchło zamieszanie, jeden z mężczyzn krzyknął, a po chwili statkiem wstrząsnęła ogłuszająca eksplozja.

Kiedy huk ucichł, dał się słyszeć tylko głęboki śmiech.

— No dalej, kto następny, he?! — ryczał Hugh Dean, potrząsając dymiącym pistoletem przed twarzami marynarzy.

W zaduchu pod pokładem rozszedł się gryzący smród prochu i w mętym świetle łożówek marynarze zobaczyli odstrzeloną głowę jednego ze swych towarzyszy; został po niej tylko poszarpany kikut i krew rozpryskana na drewnianych belkach.

— Jak mówiłem, mam sprawę do waszego kapitana — dokończył Carew, odwracając się do drzwi, obok których właśnie przystanął. Tymczasem przez luk schodzili następni jego ludzie. Nacisnął klamkę, lecz drzwi były zamknięte od środka.

— Hugh — powiedział, kładąc dłoń na ramieniu swego pierwszego oficera — bądź tak dobry.

Hugh Dean odwrócił się i strzelił z drugiego pistoletu w zamek. Kopnął w drzwi, lecz na próżno. Zaklął pod nosem. Wtedy w drewnianą konstrukcję grzmotnął ramieniem czarnoskóry olbrzym, który towarzyszył Carewowi, i tego ciężaru zamek nie wytrzymał. Murzyn z całym impetem wpadł do kajuty.

Carew skinął głową.

— Dziękuję, Kahlu. — Odwrócił się do osłupiałych marynarzy, skinął im głową i zniknął w kajucie w towarzystwie trzech swoich ludzi: Johna Devenisha, rudowłosego Williama Simpkinsa zwanego Skórnikiem i dwudziestopięcioletniego czarnowłosego Kornwalijczyka o zielonych oczach, Luke'a Treleavena.

Pozostali, których zeszło już na dół ośmiu, stali w pogotowiu przy drzwiach i drabinie prowadzącej do luku. Gwiazdek Johnson wziął od Deana zużyty pistolet i zaczął go nabijać. Wyczyścił lufę wyciorem, a następnie otworzył prochownicę. Hugh wyjął zza pasa następną broń i zatoczył nią dookoła, łpiąc złowrogo na członków załogi kryjących się w cieniu.

— Wiem, o czym myślicie! — zaczął donośnym głosem. — Myślicie, że jest was więcej niż nas. Policzmy, czterdziestu, czterdziestu pięciu... może nawet więcej, a nas ledwie koło tuzina. Ale nie zapominajcie o tych, którzy zostali na pokładzie. — Przerwał i prześlizgiwał się wzrokiem po twarzach. — Poza tym, jeśli zrobicie coś głupiego i zmusicie

mnie, żebym was zabił, przegapicie mowę kapitana Carewa, a jestem pewien, że chcielibyście wiedzieć, co ma do powiedzenia. Bo chyba wiecie, kim jest nasz czcigodny kapitan? Zanim minie ta noc, będziemy razem pić jak starzy kamraci.

Carew tymczasem zlustrował wzrokiem kajutę kapitańską, oceniając jej wielkość i kryjówki. Pomieszczenie miało pięć na sześć łokci i małe okienko, które zamknięto na noc. Oświetlały je trzy świece: jedna w lampie na haku obok koi, a dwie pozostałe w kinkietach wiszących na ścianach. Po lewej stronie stała drewniana koja, po prawej stolik. Sufit był tak niski, że Kahlu musiał przechylić głowę na bok. Oparł się o drewnianą ścianę i skrzyżował ręce na piersi.

Carew skupił całą swą uwagę na Williamie Grayu. Kapitan *Davy'ego* miał około czterdziestu lat, włosy przyprószone siwizną, a na sobie luźne spodnie zebrane u kolan oraz białą koszulę i czerwony dublet. Na trzech palcach nosił złote pierścienie.

Carew wziął krzesło i skinął na niego. Po chwili wahania Gray podszedł bliżej. Kiedy to zrobił, za jego plecami pokazała się młoda dziewczyna.

— Kto to jest? — spytał Raw.

— Moja bratanica — odrzekł Gray.

Dziewczynka miała na sobie poplamioną koszulę, potargane włosy. W jej oczach Carew zobaczył przerażenie. Nie mogła mieć więcej niż dwanaście lat. Wziął oddech i gestem dał kapitanowi znak, żeby usiadł.

Gray zerknął w stronę drzwi.

— Drogi panie, otrzymałem pełnomocnictwo od...

— Siadaj!

Gray prześlizgnął się wzrokiem po twarzach piratów, po czym usiadł.

Carew stanął za nim i spojrzął z góry na jego głowę. W blasku świecy zobaczył cienkie, jakby druciane, siwe włosy, które zaczynały już rzednąć nad czołem, i ten widok wzmógł jego pogardę dla zabaw kapitana z dziewczynką.

— Ręce na stół. Chcę je widzieć. Nie próbuj żadnych sztuczek.

Gray ostrożnie położył palce na krawędzi blatu.

— Całe dłonie, płasko.

Carew dał znak Johnowi Devenishowi i Luke'owi Treleavenowi. Podeszli do Graya z obu stron i chwycili za ramiona.

— Puszczajcie! — wrzasnął kapitan i zaczął się szarpać.
— Zostawcie mnie!

Kahlu rozkrzyżował ramiona. Gray, wściekły i przerażony, podniósł wzrok.

— Ten statek jest chroniony przez angielskie prawo! — zawołał, próbując się odwrócić do Carewa.

Mężczyźni położyli mu dłonie na stole. Nagle coś się błyskawicznie poruszyło, rozległ się stuk i Gray wrzasnął z bólu. Kahlu przebił jego dłoń nożem i przykuł ją do blatu. Kapitan szarpnął się odruchowo, lecz w ten sposób tylko pogorszył swoją sytuację, ponieważ ostrze jeszcze bardziej rozdarło skórę i mięśnie. Krzyknął znowu, jego głos wzniósł się pod wpływem kolejnej fali bólu.

— Jezu Wszechmogący! Chryste, przeklnij ich i zabij!

Wtedy rozległ się drugi krzyk, wysoki i nieartykułowany. To dziewczynka pisnęła, zrozumiałwszy, co się stało. Szybko jednak ucichła i zaczęła drzeć na całym ciele, a oczy rozszerzyły jej się z przerażenia. Kapitan Gray ciężko chwycił powietrze, płakał i kołysał się w przód i w tył.

— Niechaj ci diabli ślepią wyłupią! Zaraza na twą przeklętą duszę!

Carew obejrzał się na dziewczynkę. Miała umorusaną buzię, połamane paznokcie.

— Ten człowiek twierdzi, że jesteś jego bratanicą. Czy to prawda?

— Nnnn... nie, panie — odpowiedziało dziecko, trzęsąc się i patrząc na nich z grozą w oczach. — Nie, nie! Powiedział... powiedział, że zabierze mnie do domu. Mamusia zabrała mnie na rynek do Dover i... zgubiłam się i... posłam na nabrzeże i... ten pan... powiedział, że zna mojego tatę.

Carew podszedł, dotknął jej policzka i popatrzył głęboko w oczy. Potem powiódł dłonią w dół po jej niedojrzałych piersiach i kciukiem wygładził na nich materiał.

— Czy ten człowiek cię dotykał? Napastował cię?

Dziewczynka popatrzyła na kapitana, próbując coś powiedzieć, lecz nie wydobyła z siebie głosu. Wybuchła płaczem.

Carew odwrócił się do Graya, który przestał krzyczeć, tylko krzywiąc się, sapał z bólu. Podszedł do niego od tyłu i pochylił się nad jego prawym uchem.

— Gdyby nie to, że muszę ci zadać kilka ważnych pytań, już byłbyś trupem. Wyrzuciłbym cię za burtę w kawałkach. Kazałbym cię przywiązać między dwie deski i przepiłować żywcem. Począwszy od stóp. Niewielu przestrzegam w życiu zasad. Ściśle mówiąc, czterech. Pierwsza: mężczyźni powinni wykonywać rozkazy. Druga: powinni być uczciwi. Trzecia: powinni wyrzucić swoją religię za burtę pierwszego statku, na który wejdą. I czwarta: powinni bronić swych towarzyszy, zwłaszcza słabych i bezbronnych, takich jak kobiety i dzieci. — Popatrzył na drgającą szyję kapitana. — Ale nie przyszedłem tu, żeby ci prawić kazania. Wiesz, czego chcę. Katolickiego skarbu.

Gray pokręcił głową. Łzy płynęły mu po policzkach, ale

nie odpowiedział.

— Połóż na stole jego drugą rękę — polecił Carew Luke'owi.

— Nie! — krzyknął Gray. — Nie. — Popatrzył na twarze pozostałych mężczyzn, szukając na nich współczucia. — Błagam, na Boga, miejcie litość. Pomyślcie o swoich nieśmiertelnych duszach i okażcie miłosierdzie!

Skórnik Simpkins przepchnął się obok Luke'a, złapał kapitana za nadgarstek i przytrzymał na stole. Gray zaciskał pięść z całej siły, lecz Skórnik wyciągnął tylko kord i grzmotnął go ręką w czoło, aż głowa odskoczyła w tył, a nad lewym okiem powstała paskudna rana. Potem zaczął walić metalowym jelcem w kłykcie zaciśniętej pięści kapitana, który wył z bólu, szarpiąc dłońią przybitą sztyletem do stołu. Wreszcie, złamawszy kilka palców lewej ręki, Skórnik rozpląszczył ją na stole.

— Nie ma tu żadnego skarbu! — wrzasnął Gray. — Szukajcie, ile chcecie. Możecie zajrzeć w każdy kąt na tym statku.

— Zaczekaj, Skórnik — powiedział Carew. — Żadnego skarbu, powiadasz?

Gray przygryzł wargę i szlochał. Skórnik czekał, obracając sztylet w palcach, gotów w każdej chwili przygwoździć trzymaną dłoń do stołu.

Carew obejrzał uważnie boazerię na ścianach i zamknięty bulaj. Na półce stał kosz z chlebem i zimnym mięsiwem. Rzeczywiście nigdzie nie było widać ani śladu skarbów. Poza odsłoniętą przestrzenią pod koją jedynym miejscem, gdzie można było ukryć cenne przedmioty, była skrzynia. Wskazał ją palcem.

— Luke, otwórz to.

Luke obszedł stół i podniósł wieko, po czym przechylił skrzynię na bok. Ze środka wysypały się ubrania, bielizna,

Biblia, różaniec, niewielka szkatułka, kord, pistolet, prochownica, delikatne bawełniane chustki, grzebień, sakiewka, jakieś dokumenty, trzy cynowe talerze, dwa kubki i dzban. Otworzył szkatułkę i wyrzucił zawartość na podłogę: dwa pierścienie, dwa pionki do gry, kość, pióra oraz mały kałamarz z rogu. Z kałamarza wypadł korek i atrament wylał się na tkaniny.

Carew odwrócił się z powrotem do Graya.

— Gdzie jest skarb?

Kapitan siedział bez ruchu, zbyt obolały, żeby zareagować. Jego szczęka zaczęła się poruszać, zanim z ust wydobył się dźwięk.

— Ja nie wiem... Nie mam... Nie słyszałem o żadnym...

— Musisz wiedzieć! Po co tu jesteś? Kto cię przysłał?

— Przywiozłem na statku kobietę i mężczyznę.

— Jaką kobietę? Jakiego mężczyznę?

— Nazywała się Rebecca Machyn. A mężczyzna Robert... zdaje się, Robert Lowe. Zapłacono mi, żebym ich przywiózł do Southampton.

— Ile ci zapłacono?

— D...d... dwieście funtów — wyjąkał Gray, trzęsąc się.

— Sto pięćdziesiąt z góry. Leżą pod łóżkiem.

Carew spojrział na Kahlu, po czym zerknął w stronę drzwi. Hugh Dean cały czas pilnował załogi statku, która jak dotąd czekała spokojnie, co się dalej wydarzy.

Murzyn podszedł do koi, sięgnął pod spód i wyciągnął kolejną szkatułę. Otworzył ją i pokazał zawartość swemu dowódcy. Na dnie leżały złote monety.

Carew chwycił kapitana za włosy i wskazał głową jego zgruchotaną lewą dłoń.

— Skórnik!

Chociaż Gray podniósł ramię i próbował zacisnąć połamaną

pięść, jego palce prawie się nie poruszyły. Simpkins rozpląszczył ją na stole i wbił nóż z głuchym łomotem. Po drewnianym blacie pociekły strużki krwi. Gray znowu wrzasnął. Szarpnął się z krzesła i noże jeszcze bardziej rozdarły ciało na dłoniach. Pod wpływem kolejnych fal bólu kapitan na przemian się uspokajał i zaczynał wyć. Carew czekał, cały czas trzymając go za włosy. Z wolna Gray przycichł i już tylko łkał, dysząc ciężko, a wtedy Carew pociągnął go mocniej za włosy, co znów spowodowało szarpnięcie przeбитych dłoni.

— Jakoś nikt ci nie idzie z pomocą — powiedział, spoglądając w stronę drzwi. — Może to dlatego, że jesteś złym kapitanem? Może dlatego, że zamykasz się w kajucie na klucz niczym tchórz, kiedy wrogowie atakują twój statek? Może dlatego, że porywasz bezbronne dziewczynki? Co zamierzałeś z nią zrobić? Zawieźć do domu, żeby mogła poskarżyć się sądowi, czy wyrzucić za burtę na środku kanału? Znam takich jak ty.

Puścił go. Kapitan z zakrwawionymi rękami przybitymi do drewnianego blatu położył głowę na stole i trząś się z przerażenia.

— Co to za skarb? — spytał Carew.

— Nie wiem — wykrztusił Gray, łkając. — Nie wiem, o czym mówisz.

— Co miałeś zrobić?

— Dowieźć... do Southampton kobietę i mężczyznę.

— Kto ci zapłacił?

— Człowiek imieniem Percy. Percy Roy.

— Gdzie? Kiedy?

— W Londynie.

— Kim jest Percy Roy?

Kiedy kapitan się zawahał, Carew znowu chwycił go za

włosy i pociągnął do tyłu. Ostrza werżnęły się głębiej w dłonie i Gray wrzasnął.

— Gadaj!

— Naprawdę nazywa się Denisot. Nie powiedział mi tego, ale ja go znam z dawnych czasów. Nicholas Denisot.

Carew puścił jego włosy. Przez długi czas milczał, patrząc w zamyśleniu, jakby przebijał na wylot drewniane ściany kajuty. Po chwili jego wzrok skupił się na jakiejś myśli, która zaświtała mu w głowie.

— Gdzie on jest?

— W Londynie.

— Gdzie w Londynie? — zapytał natarczywie, zupełnie jakby to jego coś nagle zabolalo. — Gdzie w Londynie?

— Nie wiem, nie wiem!

Carew wyciągnął zza pasa sztylet, podsunął mu pod oczy, po czym przyłożył do gardła.

— Gadaj natychmiast.

— Nie mogę! — zawołał Gray ze łzami w oczach. — Nie mogę powiedzieć, ponieważ nie wiem. Denisot... podszedł do mnie w karczmie w porcie i powiedział, żebym zabrał na pokład dwoje ludzi do Southampton, jeszcze tego samego dnia, najszybciej, jak się da. Spytałem, kto mnie zatrudnia i za ile. Powiedział, że Percy Roy, a godzinę później dał mi sto pięćdziesiąt funtów w złocie i obiecał, że po powrocie dostanę jeszcze pięćdziesiąt. Ale to był Denisot... to wszystko, co mogę wam powiedzieć.

— Gdzie on mieszka?

— Na miłość boską, nie wiem. Nie mam pojęcia.

To rzekłszy, kapitan wybuchnął niepowstrzymanym szlochem.

Carew sprawiał wrażenie, jakby usłyszane wiadomości uczyniły go kompletnie nieczułym.

— Skąd znasz tych pasażerów? Po co jechali do Southampton? Muszę to wszystko wiedzieć.

— Nie znam ich... słyszałem tylko, jak wspominali jedno nazwisko...

— Czyje nazwisko?

— Podśledzałem, jak kobieta powiedziała, że pan Clarenceux... że pan Clarenceux nigdy im nie wybaczy.

— Czego im nie wybaczy?

Carew uderzył kapitana w twarz.

— Nie wiem! Powiedziałem wam już wszystko... przysięgam!

— Kim jest Clarenceux?

— Nie wiem, nie wiem. — Głowa opadła Grayowi na piersi i wybuchnęła łkaniem.

Carew zauważył, że Kahlu daje mu jakieś znaki. Murzyn podniósł lewą rękę przed pierś, a prawą narysował w powietrzu kontur tarczy.

— Herold — powiedział Skórnik. — Oni często noszą zagraniczne nazwiska.

Kahlu pokazał Skórnika palcem i pokiwał żywo głową.

— Wygląda na to, że jednak znaleźliśmy skarb, chociaż nie ten, którego szukaliśmy — rzekł Carew. — Głowa Denisota będzie dla mnie cenniejsza niż góry złota i srebra. — Spojrzał na dziewczynkę i przygryzł wargę, namyślając się. Potem odwrócił się do Graya. — Najpierw zabierzmy tego psubrata na pokład, poderżnijmy mu gardło i wyrzucmy za burtę. Potem odwieziemy dziewczynkę do matki, tak jak nakazuje nasze prawo. Czy jest z nami Alice?

Kahlu pokręcił głową.

— Została na brzegu — odparł John Devenish głębokim głosem. — Pod Dwoma Łabędziami.

— Sprowadźcie ją na pokład. Wszystkich sprowadźcie. To

jest teraz nasz nowy statek. Z załogą załatwiamy sprawę jak zwykle. Potem wybierzemy kapitana. Jeśli zostanie nim ja, ruszam w pościg za Denisotem. Płynę do Londynu. Jeśli go nie znajdę, odszukam tego Clarenceux i zmuszę, żeby mi powiedział, gdzie on jest. Wydobędę z niego tę informację, choćbym miał go rozpruć jak prosię.

1

Dwanaście dni wcześniej, sobota, 29 kwietnia 1564

William Harley, Wielki Herold Clarenceux, był nagi. Leżał w swoim łóżku w Londynie, w parafii Świętej Brygidy niedaleko murów miejskich i podpierając się ramieniem, drugą ręką gładził po plecach żonę. Jej skóra połyskiwała w świetle świecy złocistym blaskiem. Jeszcze raz powoli przeciągnął dłonią w górę, do ramion, odsuwając na bok jasne włosy, aby ją lepiej widzieć. Jest taka piękna, pomyślał. Mój skarb. Moja saksońska księżniczka. Moja Aethelfritha, Etheldreda, moja Awdrey.

Cofnął dłoń, kiedy we wnące nad ich głowami zamigotał płomień świecy. Popatrzył na krągłość jej piersi przylegającej do łóżka. Nadal nie opuszczało go wspaniałe uczucie jedności. Ekstaza nie ograniczała się do przelotnego dreszczyku, lecz składała się z wielu wymiarów rozkoszy, które stopiły się w jedną wszechogarniającą euforię i sprawiły, że miał wrażenie, jakby promieniał.

Awdrey odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego z miłością. Miała teraz dwadzieścia pięć lat. Czuł wielkie szczęście i był za nie wdzięczny losowi. Nie tylko za rozkosz,

lecz również za to, że dowiedział się, jak niezmierną może być ta błogość. Pochylił się i pocałował ją.

Świeca nad łóżkiem zgasła.

Położył się i pozwolił swoim myślom płynąć swobodnie w ciemności. Pół roku temu omal nie zniszczył swojego szczęścia, zauroczony inną kobietą. Rebeccą Machyn. Zadrżał na wspomnienie tych dni, kiedy przerażeni uciekali razem przed pościgiem. Była świadkiem, kiedy stał na krawędzi upadku, i on również widział ją w chwilach największej słabości. Wspierali się nawzajem i w pewnym sensie zakochał się w niej. Ani przez chwilę jednak nie zachwiało to jego wiernością wobec żony. Co go zresztą bardzo niepokoiło: dwie kobiety, dwa rodzaje miłości. O takich sprawach nie rozmawiali ze sobą bogobojni mężczyźni i kobiety.

W ciemności zastanawiał się, co teraz naprawdę czuje do Rebekki. Jakaś jego część nadal ją kochała. Uczucia do żony były sprawą bardzo wewnętrzną — kwestią serca. Kochał Awdrey za to, co w niej znał, i za to, co razem zbudowali, co razem przeżyli. Z Rebeccą było odwrotnie, to, co ich łączyło, kierowało go na zewnątrz. Pokazała mu to, czego nie znał — wątpliwości, zdziwienie i strach, nieodłączne części świata.

Martwiła go ta dociekliwa część własnej osobowości, ta, która odwracała jego uwagę na zewnątrz. Spędzili z Rebeccą dużo czasu, a to za sprawą pewnego tajnego dokumentu, który wpadł mu w ręce i który nadal znajdował się w tym domu. Awdrey o nim nie wiedziała. Już sam ten fakt nosił znamiona zdrady. Przez ten dokument zginęło wiele osób. Przekazując mu go, mąż Rebekki, Henry Machyn, przykazał go pilnie strzec, albowiem zależał od niego los dwóch królowych. Clarenceux pojął jego doniosłość dopiero, kiedy odkrył, co zawiera: umowę małżeńską pomiędzy lordem

Percym i Anną Boleyn, stanowiącą dowód, że królowa Elżbieta nieprawnie zasiada na tronie. Na szczęście kiedy kanclerz William Cecil poprosił go o przechowanie tego dokumentu w bezpiecznym miejscu, życie Clarenceux pomału zaczęło wracać do normy. Jednak ani razu od tamtej pory nie poczuł się naprawdę bezpiecznie.

Wiedział, że nazajutrz rano pójdzie do swego gabinetu i sprawdzi, czy dokument znajduje się tam, gdzie go ukrył. Stało się to jego rytuałem. Obsesją. Niekiedy sprawdzał po trzy lub cztery razy dziennie. Ani na chwilę nie potrafił zapomnieć, że w jego rękach spoczywa dowód, który może obalić protestancką królową Anglii, a na tronie posadzić jedną z jej kuzynek: również protestantkę, lady Katarzynę Grey, siostrę straconej lady Jane Grey; lub Marię — katolicką królową Szkocji. Strach, że dokument ten mógłby wpaść w niepowołane ręce, tętnił w jego sercu tak samo jak miłość do Rebekki Machyn. Obydwa uczucia były mroczne i niebezpieczne. Miłosna ekstaza, jaką dzielił z żoną, wydawała się w porównaniu z tym taka czysta i błoga, mimo to nie mógł zlekceważyć tej ciemnej strony swojego życia.

Poczuł, jak Awdrey przewraca się na bok i wtula w jego ramię. Był wysokim mężczyzną, ona zaś niewiastą średniego wzrostu, tak więc obejmując ją ramieniem, czuł, jakby roztaczał nad nią opiekę. Dotknęła dłonią boku, w miejscu, w którym sześć miesięcy temu został ranny.

— Jak to się goi? — spytała.

— Dobrze.

— Nie chcę, abyś się przemęczał.

— Gdyby ta rana się teraz otworzyła, to tylko przez coś, co musiałyby być tego warte.

Przypomniał sobie dzień, kiedy stoczył tę fatalną walkę w Summerhill niedaleko Chislehurst, w domu starego przyjaciela,

Juliusa Fawcetta. Zastanawiał się, co u niego słyhać.

— Co byś powiedziała na propozycję, żebyśmy w przyszłym tygodniu wyjechali do Summerhill?

— Obiecałam, że zabiorę dziewczynki do lady Cecil. Chce, żeby się pobawiły z jej Robertem.

Clarenceux leżał przez chwilę w milczeniu. Żona sir Williama Cecila była matką chrzestną jego młodszej córeczki, Mildred. Pomysł, żeby Annie i Mildred bawiły się z Robertem, był, ogólnie mówiąc, mało realny. Robert miał trzy latka, Annie sześć, a Mildred roczek. Awdrey jednak sugerowała w ten sposób grzecznie, że nie odrzuci zaproszenia. Lady Cecil, uznawana za jedną z najmądrzejszych kobiet w Anglii, była dla niej wzorem. Obie kobiety chodziły jednocześnie brzemiennie, a choć dziecko lady Cecil zmarło, zaszła ponownie w ciążę i z tego powodu jeszcze częściej szukała towarzystwa Awdrey. Ta zażyłość nie pozostała bez korzyści również dla herolda. Nie sposób było przecenić wartość koneksji rodzinnych z sir Williamem Cecilem, królewskim kanclerzem, a zarazem jednym z dwóch — obok faworyta królowej, Roberta Dudleya — najpotężniejszych ludzi w kraju.

Awdrey pogładziła go po owłosionej piersi.

— Mógłbyś pojechać sam.

Powinien już planować swoją następną wizytację. Wkrótce będzie musiał wyruszyć w podróż, aby spisać genealogie szlacheckie w jednym z hrabstw. Razem z całą swoją świtą heroldów, pisarzy i urzędników odwiedzi wszystkie wielkie dwory na danym terenie. Celem jego pracy była weryfikacja roszczeń heraldycznych oraz zdemaskowanie wszelkich bezpodstawnych lub wątpliwych żądań. Trzy lata temu zakończył wizytację w Suffolku, a w ubiegłym roku w Norfolk. Spisał notatki z inspekcji w Devonie i obszernie przedyskutował sprawy tamtejszej szlachty ze swym

przyjacielem i antykwariuszem, Johnem Hookerem. Mógł jednak odłożyć podróż do Devonu na czerwiec i razem ze swym starym druhem rozkoszować się ostatnimi wiosennymi dniami w hrabstwie Kent.

— Mogę pojechać sam — odrzekł.

Awdrey pogładziła go po zarośniętej brodzie i policzku. Powiodła palcem wokół jego ust, a następnie w dół po piersi i brzuchu.

— Bardzo jesteś zmęczony?